№ 29.

Warszawa dnia 9 (21) Lipca r. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

URYWKI

SPISANE Z PAMIĘTNIKÓW JANA BUGAJA

Z KOŃCA WIEKU XVII.

(Dokończenie).

CZŁOWIEK CELUJE — BÓG DYSPONUJE.

Jeżeli Wojski dwoma zawziętościami, wiele sobie przyczyniał niepokoju, to i dla Plebana nie były one dobrodziejami. Nie było chwilki żeby o nich nie myślał, czasami nawet zrywał się ze snu, co mu się zdawało, że jeden z powaśnionych umiera i robi mu wymówki za zostawienie w ciężkim grzechu nienawiści. Były to jakby móle zjadające spokojność kapłana, z tem twardszemi zębami, że wygubienie ich nie tylko nie zależało od niego, ale przeciwnie, coraz stawało się niepodobniejsze. Trukacz bowiem jakimś nowym wybiegiem, sprawę będącą na ukończeniu, zwrócił na inną drogę i tak poplątał, że na odplątanie mogło i dziesiątek lat niewystarczyć. Przytem zajął bydło i wytrzymawszy o głodzie dobę całą, zaledwie puścił z uwięzi, odgrażając się, że kiedykolwiek schwyci samego Wojskiego, i na miesiąc cały boso i w koszuli, osadzi w lochu o chlebie i wodzie. Gorliwa służba odgróżkę tę natychmiast przyniosła do państwa Godziembów, czem tak rozgniewał się Wojski że z szarpniętego wąsa czwarta część została mu w palcach, a potem pięścią uderzył w stół, zabrzęczały szyby, i krzyknął:

— „Przybłęda od końca świata! — jeżeli ja nie skarcę cię surowo i nienauczę moresu i unizonego afektu, to pozwolę nazwać się niemrawcem i niedojdą. Poczekaj bratunku, ty mielesz gębą i odgróżkami, ja ci zamielę czem innem ale nie słowami. Na wszystko jest miara, ale jak się przebierze to najsilniejsze tamy niewytrzymują i pękają. Dotąd religja była tamą dla mego sprawiedliwego gniewu, ale odtąd tamy już nie ma, płyńmy więc jak rzeka co wyskoczyła z łożyska.

Kiedy raz Proboszcz nieznacznie napomknął, że w ludzkiéj zawziętości odbyta spowiedź żadnego nie ma waloru, i gniew przeciągany długo, może duszę wepchnąć w otchłań potępienia, Wojski westchnął i odrzekł ze spokojem dowodzącym przekonania nie z gorączki płynącego, ale obmyślanego i wyrozumowanego, co było stokróć gorszem i niebezpieczniejszem:

— „Ha! człowiek jest człowiekiem, cześć i honor za życia nie ustępują zbawieniu duszy, a gdy się cześć straci, czyż można spodziewać się zbawienia?

Proboszcz stanął jak wryty i o mało się nierozpłakał, ale Wojski pozostał jak mur nieugięty. Kiedy Pleban wrócił do domu, zaczął chodzić szerokiemi krokami po izbie, i bijąc się w piersi i łamiąc ręce, mówił do siebie:

— „Ja kapłan i sługa Boży, a nie umiem dwóch ludzi zbliżyć ku sobie. Grzeszna dusza, nie ma mocy ani w pomyśleniu ani w wymówieniu, toć mi lepiéj zrzucić sukienkę i pójść między klechy, jak być pasterzem, co owieczek swych nie umie prowadzić. O! biada mojéj duszy, biada owczarni co ma takiego pasterza!

Kiedy się tak zacny kapłan frasuje, zupełnie niespodziewanie przyszła wiadomość do Grabowca o nagłéj śmierci Trukacza dziedzica Niwki. Przerażenie wszystkich było niewymowne a szczególniéj Wojskiego, bo zbladł jak ściana, pomizerniał i zamilkł jakby mu kto usta zalepił. Widocznie trapiło go sumienie i dopiero po pogrzebie, na którym znajdował się z wielką przystojnością, i po wysłuchaniu Mszy św. klęczący z całą rodziną i domownikami, a przez siebie

za spokój duszy zmarłego zakupionéj, jakoś troszkę uspokoił się i oprzytomniał. Przez te kilka dni Proboszcz prawie nie pokazywał się we dworku, a jeżeli zaszedł czasem, to tylko wtenczas, jak upatrzył że Wojskiego nie było w domu i mógł tajemnie rozmówić się z samą panią Godziembiną. I narady te po pogrzebie trwały blisko tydzień, ale czegoby się tyczyły nikt nie mógł odgadnąć. Musiały jednak krążyć około czegoś pięknego, bo Proboszcz w wybornym był humorze, często uśmiechał się i zajeżdżał do wdowy w Niwce, chociaż wieś ta do innéj należała parafii.

Nareszcie jednego dnia, Proboszcz przed wieczorem stanął przed samym Wojskim i po powitaniu, po gawędce o zwyczajnych przedmiotach, nakręcił wreszcie rozmowę na nagłą śmierć Trukacza, na niepewność i wątłość życia ludzkiego i na potrzebę kierowania tak swego żywota, żeby w każdéj chwili być gotowym do stawienia się przed Panem Stwórcą wszechrzeczy. Wojski słuchał w milczeniu uwag kapłana i tylko wzdychał, zapominając nawet o kręceniu wąsa. Kiedy zaś Proboszcz umilkł, odrzekł:

— „Prawda, prawda mój dobrodzieju; święte wasze słowa, to też pamiętny waszych nauk, przebaczyłem nieboszczykowi całem sercem, byłem na pogrzebie, modliłem się i klęczący z całym domem wysłuchałem nabożeństwa za spokój jego duszy. To i cóż mogę więcéj zrobić?

Proboszcz jakby niedosłyszał zrobionego zapytania rzekł:

— „Wdowa mój jegomość, pozostała w wielkiéj biedzie i niedostatku. Na siew wiosenny brakuje ziarna, dla czeladzi chleba i należą się różne wypłaty, a na to wszystko nie ma ani grosika. Dziecisków sześcioro, a wszystko drobne potrzebują opieki i niańki.....

— „To i temu się zaradzi“ — przerwał Wojski— „jutro poślę dwadzieścia korcy owsa, to i cóż mogę więcéj zrobić?

— „Oj! wiele jeszcze mój jegomość.“

— „Dodam jeszcze dziesięć korcy żyta“.

— „Jest to wiele, jak na was mój jegomość, i Bóg policzy ofiarę na waszą zasługę, ale to każdy umie zrobić. Dla przejednania zaś Boga za waszą nienawiść do nieboszczyka, trzeba cóś takiego zrobić, coby tego nikt inny nie umiał dokonać, tylko wy sami mój jegomość.“

— „To jutro pojadę między sąsiadów, a niepożałują pomocy. Tu furka zboża, tam furka to i zbierze się na siew i chleb.“

— „I za tę myśl Boga chwalić“ — odrzekł Proboszcz — „ale to wszystko mało.

— „To dam jeszcze wolców parę nieuków własnego chowu“.

— „Mało — mało“ — szepnął Proboszcz kręcąc głową i wzdychając.

— „I to mało? — zapytał Wojski zapalając się niecierpliwością — „to weźcie cały Grabowiec i oddajcie wdowie i sierotom, a mnie z moją starą wyprawcie w świat z torbami“.

— „Tak, mało“— powtórzył Proboszcz donośnym głosem, — „a z zapalczywości na te słowa, uderzcie mnie pięścią, żeby i ręce były grzeszne, kiedy dusza przejęta żarem staréj nienawiści.

— „Ojcze duchowny! odezwał się Wojski z czułością — „ja was miałbym uderzyć? Czyż ja już taki winowajca? Nie krzywdźcie mnie ojcze....“ i rzekłszy to ujął rękę kapłana, serdecznie ucałował i przytulił potem do piersi.

— „Kiedy mówię mało mój jegomość“—odezwał się po chwili Proboszcz — „to nie mam na myśli dostatków ziemskich, bo wielkość ofiary zależy od woli i możności dającego. Ale mam na myśli dary serca i rozumu, których nie kupi za złoto. Nienawiść między ludźmi, to najstraszliwszy grzech, jaki może opętać duszę człowieka. Kto nienawidzi bliźniego, to nienawidzi samego Boga, boć człowiek każdy ma w sobie tchnienie Boże i został na obraz i podobieństwo Boga stworzony. Jakichże więc ofiar potrzeba żeby przebłagać Boga, za wyrządzoną mu obrazę przez nienawiść bliźniego? Dary ziemskie wiele znaczą, ale duszy nie okupią obabranéj błotem nienawiści. Grzech to serca, niechże serce go wynagrodzi a nie szpichlerz, kwesta lub obora. Wszystko dotąd coście dać przyrzekli, to są dary ziemskie, co je mól gryzie a rdza trawi, ale nie ma w nich darów serca. Te ofiarujcie a wtedy umilknę, nie powiem *mało!* i wzniosę modlitwę do Pana nad Pany“.

— „To powiedzcie jakichże darów odemnie wymagacie?

— „A wypełnisz jegomość, to, co ci wskażę?

— „Będę się starał.... szepnął Wojski.

— „Będę się starał“ — powtórzył Proboszcz — „to mało mój jegomość. Wdowie nędza i śmierć grozi, dziatkom ostatnia poniewierka, sierotki jak ptaszęta może lada chwila, z ojczystego gniazda wyrzucone zostaną, ludzie będą ich szturchać, popychać a wy mój jegomość powiadacie, *będę się starać*. Kiedy pomyślę o tem wszystkiem, z żalu mało mi serce nie pęka, dławię się łzami, a myśl truchleje, nie mogąc się nawet zaprzątnąć modlitwą....“

— „Więc powiedźcie ojcze.....“ — odezwał się Wojski poruszony.

— „Gdybyście wy mój jegomość w młodym wieku odumarli waszych dziecin, które dziś za łaską Bożą, każde jest na własnym chlebie, i było wam dozwolone widzieć waszą świętą niewiastę, załzawioną, upadającą w boleści, a dzieciny bliskie zupełnego sieroctwa i ostatniéj nędzy, to o co byście błagali Boga Najwyższego?

— „O opiekę mój dobrodzieju, o opiekę“ — odrzekł Wojski składając ręce jak do modlitwy i wznosząc załzawione oczy ku niebu.

— „To dajcież wdowie i dziatkom opiekę, a będą to dary serca, o których mówiłem, i największa ofiara jakiéj nikt inny nie potrafi udzielić“.

— „Dam ojcze, kiedy tak radzicie....“

— „Bez przymusu dacie, z dobréj woli, bez żalu i wachania? — zapytał Proboszcz.

— „Bez wachania, całem sercem“— odrzekł Wojski — „niech mi tak Bóg dopomaga i Najświętsza Marja Panna!

Proboszcz usłyszawszy słowa te, powstał, otworzył drzwi do obocznego alkierza, a w progu pokazała się we wdowich żałobnych szatach Trukaczowa otoczona wiankiem sześciorga dzieci, tulącemi się do niéj i do pani Godziembiny tuż za nią postępującéj. Zanim Wojski ze zdumienia miał czas ochłonąć, wdowa podsunęła się bliżéj ku niemu i padła wraz z dziat-

kami na kolana. Dziatki zapłakały głośno, wdowa pocichu, ale widać z wielkiem przejęciem, bo osłaniające twarz wydawała tylko bolesne przytłumione łkania. Wojski stał chwilę jak marmurowy posąg, nachylił się ku wdowie obejmującéj mu kolana, chciał nawet cóś przemówić, ale z oczów puścił mu się strumień łez i spłynął w kroplach niby woda święcona na głowy płaczących dziatek. Rozrzewnienie, żal, czułość, zadławiły głos w piersi. Wtedy Proboszcz odezwał się ze zwykłą sobie powagą:

— „Oto wdowa i dziatki, mój jegomość, człowieka, z którym żyłeś w zawiętości. Dziś leżą u nóg twoich błagając opieki, przyrzecz ją, a będzie to zemsta godna chrześcjanina i rycerza.

— „Przyrzekam.... przyrzekam.... wyjąkał Wojski podejmując z ziemi najmłodsze dziatki i obsypując je pieszczotą i całusami — „i choćby mi przyszło żywot położyć, to przy pomocy Bożéj wydobędę was z biedy, bo od dziś przestajecie być sierotami.

Wasza to sprawa ojcze duchowny, Bóg więc wam zapłać za trudy i poczciwe słowa. Spodziewam się że teraz już nie powiecie *mało?*

— „*Mało!* powtórzył Proboszcz — „i jeszcze raz powiem *mało!*

— „I cóż więcéj chcecie? — zapytał Wojski po małéj zadumie".

— „A Starościc i kaplica?

— „A prawda.... ha! trudna sprawa" — po chwili odrzekł Wojski, niechże z dniem dzisiejszym wszystkie ustaną nieprzyjaźnie, powiedzcie więc Starościcowi, aby postawił kaplicę, gdzie mu się podoba, choćby na grzesznych moich plecach, a nic mu nie powiem.

Tak się zakończyły sprawy niepokojące Wojskiego. Kiedy na drugi dzień po nabożeństwie, całował patynę i Proboszcz błogosławił i modlił się nad głowami małżonków, Wojski bił się w piersi i całował świętą ziemię, jako proch ziemski co się ma znowu w proch zamienić.

Na drugi dzień do Grabowca przybył Starościc z podziękowaniem i późniéj odwiedzano się wzajemnie, zachowując zgodne sąsiedzkie stosunki. Nad wdową i dziatkami w Niwce, Rotmistrz sprawował opiekę z największą troskliwością, bo i radził i gospodarzył. Proces graniczny zakończono sądem polubownym, który przyznał całe pastwisko i las Grabowcowi, chociaż Wojski opierał się temu o ile mógł, sam przeciwko sobie dowodząc. Ponieważ słuszność zupełnie była po jego stronie i nie mógł żadnym sposobem pójść przeciw wyrokowi sąsiadów, któremu się poddał bez żadnego ograniczenia, oszacowano więc późniéj połowę zakwestjonowanéj przestrzeni, coś nie całe dwie włóki wynoszącéj, i Wojski szacunkiem tym zapłacił jakiegoś pilniejszego wierzyciela.

To zdarzenie i różne inne opiekuństwa nad sierotami, dały mu takie poszanowanie, jakiego daj Boże każdemu doczekać.

Koniec części pierwszéj (1).

---

(1) Druk następnych części późniéj nastąpi.

Redakcja.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Kto się chce dowiedzieć, dla czego żywot na ziemi dla dobrych jest tak ciężki, przykry i bolesny, a dla złych niemal rajem pełnym rozkoszy, niech zajrzy do dziełka p. Ponthieu p. t. Fêtes legendaires, a objaśniony przestanie się dziwić i narzekać.

Onego czasu, powiada podanie, kiedy cała ziemia pokrytą była wodami potopu, a na ich falach unosiła się arka, szatan nudził się przeraźliwie. Wszystko co żyło wyginęło, stworzenia zamknięte w Arce, zostawały pod wyłączną opieką Boga, szatan więc łykał tylko ślinę, ostrzył ząbki, kręcił jak kot ogonem, i straszliwie z nudów poziewał. Ukryty w kłębach najniższéj chmury, trawiony niepokojem i czarnemi jak sam namiętnościami, wpadł w rozpacz, czychając z upragnieniem na opadnięcie wód, aby natychmiast zastawić sidła na ocaloną rodzinę Noego. W melancholicznych rozmyślaniach, i w chwilowym przystępie skruchy, wyrzucił z siebie skargę, szepcząc:

— „Dla czego za jednę obrazę skazany zostałem na wieczne piekło, gdy winowajcy codziennie tak łatwo zyskują przebaczenie?

Słowa te płomiennym wężykiem popłynęły w górę i zawisły przy podnóżku tronu Przedwiecznego.

— „Bo nie okazałeś żalu szczerego" — szelestem skrzydeł odrzekł anioł szatanowi.

Szatan zapienił się jak ocean podczas burzy i tak szarpnął się w swéj wściekłości, że chmura pękła a mieszkaniec piekła spadł na ziemię właśnie w punkcie, w którym tylko co pokazał się wierzchołek góry Ararat. To pierwsze dotknięcie się ziemi po potopie stopą szatana, przeniknęło ją wskróś jak iskrą elektryczną. Ziemia z bólu aż zasyczała, i dla tego jęczy cierpieniem, a z nią boleją wszystkie żyjące stworzenia, aż do chwili, w któréj człowiek okaże żal szczery i wzniesie się myślą i czynem do Boga.

Że zaś wypuszczony kruk z arki, uległ namowie szatana i zajął się żerem, a gołębica na ten widok przejęta zgrozą, z gałązką oliwną powróciła do domu ocalenia, kruk więc został symbolem śmierci i zniszczenia, a gołąbek czystości i niewinności. Dla tego w całem chrześcjaństwie Ducha św. malują w postaci gołębia a inne ludy otaczają go czcią i poszanowaniem.

Wystawa sztuk pięknych w Paryżu, otwarta jeszcze w Maju, składa się z kilku tysięcy utworów najrozmaitszego rodzaju. Oddział malarski otrzymał czterdzieści medali, z których pomijając Francuzów, dostało, dwóch Niemców, dwóch Szwajcarów, jeden Włoch i jeden Hiszpan. Z Polaków żaden nie nadesłał swéj pracy na wystawę. Jak wszędzie tak i tu, rozdział nagród wywołuje tysiące nieukontentowań i zazdrości. Psychologowie utrzymują, że pod tym względem, najwięcéj wrzawy z obrażonéj miłości własnéj, okazują artyści dramatyczni, późniéj malarze, daléj rzeźbiarze, a w końcu dopiero poeci i powieścia-

rze. Nie mogą się tylko zgodzić, jakie miejsce przeznaczyć kobietom autorkom, czy przed artystami dramatycznemi, czy po powieściarzach?

Pomijając obszerny rozbiór téj tak ważnéj kwestji, powiem tylko, że kobiety przykute dotąd do pracy igielnéj, jakkolwiek zacnéj i szlachetnéj, ale niezmiernie lekceważonéj i zawsze spychanéj przez mężczyzn na podrzędne stanowisko, nie miały jeszcze sposobności, do wyrobienia w sobie pychy, tyle brojącéj pomiędzy artystami wszelkiego rodzaju. Jeżeli która z pędzlem lub piórem, odważyła się wcisnąć w szranki dotąd dla niéj nieprzystępne, to bez względu na wartość pracy, już to samo było dla niéj nie małym zaszczytem. Ciesząc się więc mianem artystki, sam tytuł zadawalniał ją najzupełniéj, i nie obudzał chęci współzawodnictwa. Żądza sławy, nagrody, pochwał i uwielbień, nie miała jeszcze czasu urość w olbrzyma w sercu niewieściem, czującem zawsze, że kółko domowe to kraina w któréj ona panią i królową. Dziś zatem kobiety wyłączyłbym od tego stopniowania, kiedyś..... ale proroctwa dzisiejsze troszkę niebezpieczne, zwłaszcza że kobiety pomne, iż zawiść artystyczna idzie w stosunku odwrotnym do wielkości talentu, obdarzone wybornym rozsądkiem, namiętność tę zawsze trzymać będą na wodzy. Kiedy zaś my pozbędziemy się téj dziecinnéj i śmiesznéj wady, zależyć to będzie od ogólnego postępu, sunącym się dziś jak żółw do moczaru.

Jeżeli jednak Chińczycy, to plemie najliczniejsze z turańskiego rodu najbardziéj nienawidzące Europy, uprzedzenie swe dotyla pokonali, że poraz pierwszy jak świat światem, wyprawili poselstwo do Francji w celu bliższego porozumienia się, to dlaczegóż artyści nie mieliby się upamiętać, i oklask uważać za rzecz podrzędną a sztukę za wszystko?

Z okoliczności pobytu Chińskiego poselstwa w Paryżu, Paryżanie mieli tysiące pociech, z których nie zawsze wyszli zwycięzko. Szczególniéj gniewała ich obojętność gości z niebieskiego państwa, na wszelkie utwory sztuki, gmachy, muzea, zbiory naukowe, świetne wystawy, z których tak słusznie chlubi się Paryż. Skarby te oglądając, zaledwie je darzyli spojrzeniem i przy każdym nowym szczególe powtarzali jakby roli poprzednio wyuczonéj:

— „U nas to bezporównania daleko lepsze“. Frazes ten, tak często był powtarzany, tak jednostajnością swą nurzył, męczył i mordował, że osoby bliższe poselstwa wpadały w rozpacz, nie mogąc nic wynaleść takiego coby ich zdziwiło i wywołało choćby najmniejsze zajęcie. Ale raz z powodu deszczu, tłómacz ich przewodnik zarazem rzekł:

— „Dziś pogoda niepewna i deszcz już padał, przejażdżkę więc ułożoną za miasto, wasze Ekscelencje zapewne odłożą na jutro....“

— A to dla czego?

— Bo deszcz padał.....“

— „U nas większe deszcze padają a jednak projektów nie zmieniamy“ — odrzekli dygnitarze z powagą.

— „Ale paryzkie błoto znane wszystkim, tak jest przykre i nieznośne.“

— „U nas daleko większe bywają, a jednak nieprzechwalamy się niemi....“

— Ale ja mówię o przykrości jaką sprawia, przerwał tłómacz z pewną niecierpliwością.

— „Nasze błoto daleko jest przykrzejsze i nieznośniejsze“ — mruknął Chińczyk i zwracając się do kolegów dodał — „jakżeż ci Francuzi są nieznośni samochwalcy, koniecznie się upierają żeby u nich wszystko było lepsze“.

— „Przewrotni barbarzyńcy! — dodał drugi i zatopił się w głębokiem zamyśleniu.

— „Głupcy“ — dodał trzeci i spojrzał z litością na tłómacza.

Tłómacz rozśmiał się ale wcale nie obraził, tylko powtórzył rozmowę z któréj dowcipni Paryżanie, tysiączne potworzyli warjanty.

Pogadanka Tygodniowa.

Siedmiu braci śpiących obdarzyło nas deszczem, lały się go też potem strumienie, dzień po dniu z małemi nie wiele znaczącemi przestankami. Dla Warszawy jest to przykrość ale nie bieda, do pewnego stopnia nawet dogodność, bo niszcząca kurz nieznośny i odświeżająca zaduszone murami powietrze. Ale dla wsiów, dla rozpoczętego żniwa, może się w klęskę zamienić jaką odczują wszystkie stany, zarówno orzące jak szyjące, kujące, kupczące, a nawet piszące. Mieliśmy już tego próbki bardzo dokuczliwe, nic więc dziwnego, że z wielką ciekawością wyglądamy wiadomości z placu boju, na którym sierp i kosa występują przeciw łanom falującym kłosami dojrzałego zboża. Niechże Bóg szczęści i w pracy i w plonie!

Któżby się jednak spodziewał, że w Warszawie, w mieście większem i do tego stołecznem i my możemy także dostarczyć wiadomości o rozpoczętem żniwie. Wprawdzie odbyło się ono na małych kawałkach roli obejmujących po kilka korcy wysiewu, na Pradze i w okolicy przyokopowéj, zawsze jednak w obrębie Warszawy, przy kamienicach murowanych i ulicach mających swe nazwy. Widok krzątających się żniwiarzy, leżących garści mendli i półkopków, jako przypominający wioskę, był nader miły i pociągający, ale pogląd na żyto przerosłe gęstym chwastem i aż od niego powalone, na owies chudy i mizerny, na jęczmień rzadki, karłowaty, w połowie spalony, dawał bardzo niekorzystne świadectwo, o staranności gospodarzy, mających wszelką łatwość zapewnienia sobie jak najlepszego plonu. Wreszcie pole w obrębie Warszawy czyż nie dałoby się korzystniéj zużytkować w ogrodowéj uprawie? Do tego jednak potrzeba trzech rzeczy, stosownéj nauki, chętnéj pracy i pieniędzy. W braku tych trzech motorów wszelkiéj pomyślności, właściciel partacz po partacku obrządza się z posiadanem mieniem, nakład naturalnie przenosi korzyści, czego może nie wie bo rachować trudno i zmudno, więc nic dziwnego że potem narzeka i bieduje?

Z podobną nieoględnością u nas na nieszczęście często spotkać się można. Najczęściéj jednak z brakiem funduszów odpowiednich potrzebom obejmowanego gospodarstwa. Z tąd bieda, narzekania, ruina i zupełny upadek, bo gdzie trzech złotych trzeba a jest jeden lub pół tylko, tam pomału gospodarz musi zjeść sam siebie. O starem przysłowiu: według stawu grobla, wielu zapomniało zupełnie, każdy w obliczaniu się z funduszem najpomyślniejsze przypuszcza wypadki, mnoży, dodaje a pomoc Bożą zamienia w kapitał lichwiarsko procentujący. Ufność to zacna i szlachetna, ale się staje zdrożną a nawet grzeszną w przypuszczeniu, że złotówki na talary zamieni. Ufającym szczerze, pomoc ta nie chybia, ale realizuje się tylko w warunkach zgodnych z rozumem, który nie na próżno wraz z duszą dostaliśmy.

Ekonomiczna ta kwestja jakkolwiek Was zacne moje Czytelniczki bezpośrednio nie dotyka, ale macie braci, mężów i narzeczonych z których nie jeden może, błąka się jeszcze w kółku dawnéj rutyny, rzucania się, z nieodpowiedniemi funduszami na interesa przenoszące o wiele zasoby ich pieniężne.

Takim więc kładźcie w uszy, niezmordowanie aż do znudzenia, że zagon jeden dobrze zagospodarowany, więcéj przyniesie korzyści, jak dziesięć gdy gospodarza trapią brak ciągły i wierzyciele; że lepiéj małą wioskę zadzierżawić, jak dużą kupować gdy nie ma takich funduszów jak wymaga; że wreszcie dla pozoru poświęcać spokojność całego życia, jest niedorzecznością, którą każdy wyśmieje a nikt się nią nie ułudzi. Gdy w każdéj naszéj czynności, będzie według stawu grobla, ogólny kraju dobrobyt podniesie się, bo ten jest tylko wypływem dobrobytu jednostek. Starać się o to, jest obowiązkiem wszystkich, a więc i Waszym; rada czasem bywa więcéj warta jak złoto, radźmy więc namawiajmy i dowodźmy według znanego zdania:

.... a jako kto może,
ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże."

Braku tyle potrzebnego rachunku świeży mieliśmy przykład, na zawiązanéj w Marcu spółce omnibusów, a upadłéj już w Czerwcu. Kapitał wkładowy stanowiły: chude szkapy, stare zaprzęgi i dosyć już podniszczone omnibusy, pieniędzy zaś na obrót tak konieczny nie było ani grosza. Uporządkowanie więc stajen, wozowni, szop, zakup owsa, siana, słomy, naprawa rzeczy popsutych i inne podobne wydatki, wszystko to się naturalnie odbywało na kredyt niezmiernie drogo zwykle kosztujący. Nadziei były pełne wory, ufności jeszcze więcéj, ale gdy dopisały tylko w połowie, kassa zaświeciła pustkami, w terminach wypłaty chybiono, przyszło więc bankructwo i zupełny upadek. Gdyby do spółki, zamiast starych gratów złożono kapitał, lub do gratów odpowiednie fundusze na poprawę i pierwsze wydatki, spółka zpewnością byłaby się utrzymała, bo wystąpiwszy schludnie, pozornie i wygodnie, wszystkich jeżdżących ściągnęłaby do siebie i dochód dawniejszy, kiedy luźnie każdy zarabiał, z pewnościąby podwoiła. Nie wprowadziwszy zaś żadnych ulepszeń do swych powozów, oprócz marnych liter T. O. oznaczających należenie do Towarzystwa Omnibusów, z kądże mogła spodziewać się, że dochód pierwiastkowy tak znacznie podniesie? Chcąc cel ten osiągnąć, trzeba było staraniem, pracą, zabiegiem i uwygodnieniem jazdy zasłużyć na to, a nie liczyć tak bezwarunkowo, na jakąś nadzwyczajną pomoc i współczucie ogółu.

Idąc daléj w satyrycznych uwagach, podniosę jeszcze kwestją wniesioną przez p. W. w kurjerze Codziennym, a dotyczącą czystości mowy naszéj. Każdy z nas, powiada pan W. miłuje czystość języka, wprawdzie rozmaicie ona bywa pojmowana. Jedni głównie zwracają uwagę na sposób wyrażania się czyli na styl, drudzy dołączają do tego konieczność używania samych polskich (swojskich) wyrazów. Ostatni mają całkowitą słuszność. Często bowiem przez obcy wyraz myśl dla czytelnika staje się niezrozumiałą. A wiele takich wyrazów obcych przez długie ich używanie, tak się przyjmuje, iż prawie nikt na to nie zważa i pomimowolnie oszpeca swój język. Nie dotyczy to wyrazów obcych mało używanych, ale głównie wyrazów prawdziwie polskich, najzupełniéj znanych, a których użycie na równi z obcemi tegoż samego znaczenia ma miejsce np. przyroda — natura: odczyt — prelekcja: przechadzka — spacer: odwiedziny—wizyta: rozstrzygnięcie—decyzja: ujeżdżalnia—rajtszula: zabawa — bal: słuszność — racja: nauczyciel—profesor: liczba—numer: głoska—litera: zgłoska — sylaba: kula — glob: zarząd — administracja: skład—magazyn: ciepłomierz—termometr: pieniądz—moneta: spis—rejestr: wyprowadzenie — eksportacja: uruchomienie—mobilizacja i t. d.

Przebiegłszy tych kilka myśli, powiada w końcu pan W. mniemam, iż można choć w części przyczynić się do czystości języka, poddając w pismach szczególniéj codziennych wyrazy swojskie zamiast obcych, których w tych czasach nadzwyczaj wiele używają.

Podzielając w zupełności uwagi pana W. powtarzamy je w Tygodniku, mając nadzieje, że bez wpływu pożytecznego nie pozostaną.

ŚPIEWKA.

Zrobię sobie fujareczkę
Z wierzby struganéj,
I zanucę wam piosneczkę
O méj kochanéj.

Brzmij fujarko w nucie tkliwéj
Niech echo niesie,
Piosnkę o méj czarnobrewéj
Po całym lesie.

Graj jakie ma czarne oczy
Które mnie nęcą,
Lub jak wstęgi jéj warkocze
Z wiatrem się kręcą.

I różannych ust korale....
Lecz cóż się dzieje?
Ja ją kocham szczerze stale
Ona się śmieje.

O! mój Boże, i któż zgadnie
Co się przewleknie,
Fujareczko grajże ładnie
Bo mi ucieknie.

Graj fujarko, graj od ucha
Co serce kryje,
Niech dziewczyna raz posłucha
Że dla niéj żyje.

Regina.

O UBIORACH

O meblach.

W dawnych bardzo czasach, za naszych pra-praojców, kiedy stosunki z Zachodem były prawie żadne, i każdego z obcéj ziemi zwano przybylcem z za morza, wyraz *meble* zupełnie był nieznany. Ławy, stoły, zydle, łóżka, szafy, graty kuchenne, wszelkie narzędzia i porządki domowe zwano *sprzętami*, ztąd *sprzątać, oprzątać, poprzątać*, a lud jeszcze dziś mówi, że każda dobra gospodyni, nie wyruszy z domu żeby *statków nie oprzątnęła*, to jest: żeby w całym domu należytego nie zrobiła porządku. Sprzęty też te wszystkie były proste drewniane, przyspasabiane siekierą, piłą i heblem, a całą ozdobę i przepych pański, stanowiły kobierce, kotary, bławaty, złote i szkarłatne wezgłowia, wysadzane perłami a nawet drogiemi kamieniami, któremi je okrywano. Tak było w komnatach królewskich i w siedzibach wielkich panów; w dworcach szlachty jedno lub kilko wioskowéj, ławy albo poławniki pokrywano *jakową tkanką* czyli *spalerami*, stoły zielonem suknem, w około którego stały zydle, a przy ścianach stołki zwykle jaworowe. Sciany opatrywano grzędami, to jest kołkami do wieszania sukien, na nich wisiała zbroja i malowidła różnych świętych, po oknach stały doniczki i szklanki z kwiatami: jak lilje, konwalje, róże, goździki lub niezapominajki, na stole zegar ciekący czyli klepsydra, a podłogę w lecie potrząsano pachnącem zielem i kwiatami. W chatach włościańskich tak jak dziś jeszcze, były ławy, stoły, zydle, łóżka i szafy wyrobione z drzewa, bez żadnéj ozdoby po prostu, tylko dla pożytku i wygody, i tych niczem nie okrywano.

Prostota ta w domowem uporządkowaniu, zachowywała się bez zmiany aż do końca XIV wieku, a jako przepych i niezwykłą kosztowność, kronikarze ówcześni powiadają, że u Kazimierza W. był w sypialni krzyż złoty więcéj jak dziesięć tysięcy ówczesnéj monety wartujący i monstrancja złota z relikwiami św. Kosmosa. Późniéj do tych nabożnych ozdób sypialni przybyło Pismo święte w ozdobnéj okładce.

Od wieku XV rozszerzone stosunki z zagranicą zaprowadzają zmiany w sprzętach domowych. Starożytną prostotę, zaczyna rugować zagraniczny gust i zbytek, naprzód z komnat monarchów, późniéj z pańskich, zapełniając je miękko wysłanemi kanapami, krzesłami, fotelami, sofami, nadając poręczom różne rzeźby nader kosztowne, zdobne złotem i drogiemi kamieniami. Że zaś wszystko to było pierwiastkowo sprowadzane z zagranicy, a mianowicie z Francji, ztąd dawną nazwę *sprzętów* zastąpiono francuzkim wyrazem meble (meuble) z czego utworzył się nieznany przedtem wyraz *meblować się*. Kto więc tylko był zasobniejszy, meblował się na wzór zamożnych domów, a choć wystawność ta przekradała się i do szlachty, ogólnie jednak po dworach wioskowych w porządku domowym, przechowała się dawna prostota, czasami tylko okraszana jakim przybyszem

z Gdańska na berlince sprowadzonym; komodą, kantorkiem lub szafą sztucznie wyrobioną.

Od połowy XVIII wieku, umeblowanie zaczyna się stawać modą, późniéj koniecznością, rzemiosło stolarskie wydoskonala się, powstają fabryki mebli, ciągłe odmiany w ich budowie, ozdoby, rzeźby, wyrzynania, aż wreszcie stolarstwo staje się prawdziwym kunsztem, a dawne porządki domowe skazane na zużycie, trawią ostatnie chwile swego bytu, w zaciszach wioskowych, tęskniących za dawną prostotą i starym obyczajem.

Od téj chwili wyraz *meble* i *meblować się* w mowie naszéj zyskują prawo obywatelstwa, rozumie je każdy każdy ma meble i albo meblował się albo się będzie meblować, pojęcie jednak ich znaczenia, nie schodzi do warstw najniższych, bo tam jeszcze ławy i zydle służą wnukom, jak niegdyś dziadom służyły.

Nie ma wątpliwości, że ozdoba naszych pomieszkań wiele na tem zyskała, ale straciła zamożność. Dawniéj sprzęty domowe bardzo mało, prawie nic nie kosztowały, bo miejscowy las dostarczył materjału, a domowy cieśla roboty; kobierce zaś, makaty, opony i różne okrycia przechodziły spadkowo z ojców na synów. Dziś co lat kilka, ledwie że nie corocznie w meblach zmienia się moda, co lat dziesięć starzeją się, w piętnaście odpada fornir, miejsca delikatniejsze wyłamują się, rzeźby psują, pokrycia drą się na szmatki, pełzną, wygniatają, obcierają, słowem odnawiane i naprawiane co lat kilka, w końcu niszczeją zupełnie i idą na tandetę. Trzeba więc sprawiać nowe, w spadku zaś rodzinnym otrzymane, więcéj są uważane za miłą pamiątkę, jak za rzecz pożyteczną i najczęściéj po szopach, lamusach, górach, zepchnięte na kupę, jak starzy inwalidzi, bez nóg, poręczy, połamane, popsute, zapylone, oblepione pajęczyną, rozpamiętują chwile minionéj przeszłości.

Przepatrując obecnie tutejsze składy z meblami, nie mogliśmy się dosyć nadziwić ich rozmaitości. Przed tem ozdabiane rzeźbą, dziś wyrabiane są zupełnie gładko, co je dozwala utrzymać w większéj ochronie od zakurzenia. Na fornir głównie używany jest machoń i orzech podobny bardzo do palisandrowego drzewa, ale daleko trwalszy i przyjemniejszy dla oka, bo nie tak ciemny i ponury. Cena zależy od większéj pracy w odrobieniu.

Kanapa, krzeseł 6, foteli 2, i stół machoniowy, płacą się od rs. 160 do 200, krzesło pojedyncze od 7½ do 10 rs. Taki sam garnitur orzechowy jest droższy i cena jego dochodzi do rs. 188, pojedyncze krzesło rs. 10. Machoniowe szafy od rs. 80 do 100, orzechowe po rs. 50, komody machoniowe od rs. 40 do 50, jesionowe na orzech od rs. 22 do 25. Biórko od rs. 70 do 80, orzechowe 75. Toaleta od rs. 70 do 80, orzechowa od rs. 75 do 90. Łóżko od rs. 33 do 60, na orzech od rs. 15 do 19. Umywalnia machoniowa rs. 24, w téj saméj cenie i orzechowa, jesionowa bejcowana na orzech od rs. 12 do 14. Szafki do łóżek machoniowe z marmurowym blatem po rs. 17, bez marmuru od rs. 10 do 12½. Etażerka do nut rs. 14. Konsolka na ścianę do pomieszczenia na niéj jakiego przedmiotu, np. zegara, lampy, lub figury rs. 1 k. 60. Stolik do kart machoniowy od rs. 25 do 27, służyć mogący za konsolę do pokoju bawialnego.

Z mebli jesionowych, cena krzesełka jesionowego wyplatanego do jadalni, wynosi od rs. 2 kop. 10 do rs. 3 i rs. 3 kop. 30, wiedeńskiego zaś okrągłego bez tyłów wyplatanych rs. 2 kop. 55. Stół rozsuwany także do jadalni płaci się od rs 42 do 50, kredens orzechowy od rs. 50, 70 do 90. Sofa na orzech bejcowana od rs. 13½ do 16½, wieszadła stojące jesionowe na orzech rs. 7 kop. 50, takież do przybicia na ścianę od rs. 2 do 4 kop. 50.

Wszystkie kanapy, krzesła, fotele, kozetki, których ceny powyżéj podaliśmy, sprzedają się bez wysłania i takowe dopełniają się za osobną ugodą. Na pokrycie kanapy, krzeseł 6, foteli 2, zwykle potrzeba materji szerokiéj łokci 2¼, około łokci 20. Wysłanie zaś ich czystym włosem kosztuje rs. 60. Kozetki okryte prawdziwym safjanem średniéj wielkości, z wysłaniem i obiciem płacą się do rs. 45.

Opakowanie w drogę dopełnia magazyn na miejscu, owijając naprzód wszystko papierem, potem słomą a następnie rogóżką, szpagatem i gwoździkami. Płaci się za opakowanie w ten sposób: kanapy rs. 2, kozety rs. 1 kop. 50, fotelu rs. 1, krzesła kop. 50, szafy dubeltowéj rs. 3. kredensu rs. 3, komody rs. 1 kop. 20, łóżka rs. 1 kop. 50, szafki do łóżka kop. 40, dużego stołu rs. 1 kop. 50, mniejszego rs. 1, wyplatanego krzesła kop. 15, toalety rs. 3, wieszadła kop. 50.

Na pokrycie mebli używane są materje jedwabne lub wełniane. Znaczny ich wybór niedawno p. Penkala sprowadził z Paryża do swego składu, z pomiędzy których szczególnie pięknym zaleca się gustem.

Brokatela jedwabna Lyońska. Desenie na niéj składają się z wielkich medaljonów, zapełniających środek krzesła, zwykle tegoż samego koloru co i tło. Brokatele takie znajdują się w kolorach: Solferino, szafirowym, zielonym, kanarkowym i innych po rs. 5 4, 3 i pół rs.

Zasługuje też na wzmiankę wyrób nowy, tkany z odpadków jedwabiu, drukowany w wielkie bukiety lub pasy różno kolorowe w guście Perskim. Wyrób ten zwany *Smyrne* powszecznie teraz używany w Paryżu tak na meble, jak na firanki, portiery i kapy do okrycia łóżek. Szerokość jego dwułokciowa, po rs. 2 kop. 25.

Z wełnianych wyrobów podobała się nam największéj piękna tkanina w karpią łuszczkę w jednym kolorze zwana *Armure* po rs. 2 kop. 70 łokieć. Prześlicznie wygląda także wyrób ten pąsowy w pasy przerabiane jedwabiem koloru złotego z czarnym.

Równie piękny ryps wełniany w rozmaitych kolorach w pasy greckie odmiennego koloru naprzykład brązowy, w szerokie pasy zielone i solferino, zielony w pasy morderowe, na tych pasach przerabiany bywa deseń grecki zwykle żółtym jedwabiem. Łokieć kosztuje po rs. 3½, 4 i 5 rs. stosownie do mniéj lub więcéj bogatego desenin. Po téj ostatniéj cenie oglądaliśmy też ładny wyrób zwany *Moquette* naśladujący gobeliny.

Zalecamy na meble wyborny adamaszek z czystéj wełny, w rozmaitych kolorach, po rs. 1½, równie jak gładki ryps po rs. 2 kop. 70 w najlepszym gatunku, rs. 2 kop. 25—rs. 2 kop. 40—rs. 2 kop. 55; w lżejszym po rs. 2 kop. 55 — rs. 2 kop. 40 — rs. 2 kop. 25. Szerokość 2 łokcie i pół ćwierci.

Dotąd nie używane na pokrycie mebli koloru fijołkowego, gdyż kolor ten zazwyczaj był nietrwały i zmieniał się od kurzu i słońca. Teraz jednak udoskonalono farbę fijołkową i piękny ten kolor z upodo-

baniem używany na suknie, może też być użyty na pokrycie mebli.

Widzieliśmy w zbiorze towarów pana Penkali piękne rypsy i *armury* fijołkowe.

Najtańsze pokrycie mebli stanowią tak zwane *kretony* czyli surowe perkale, drukowane w wielkie kwiaty; teraźniejsze gatunki piorą się doskonale i nadzwyczaj są trwałe. Na tle jasnem kwiaty bywają w żywych kolorach w rodzaju perskim. Na tle mocno niebieskim lub pąsowym, deseń składa się z kwiatów białych z popielatem do cieniu. Szerokość ich $5^1/_2$ ćwierci po złp. 8, 7 i rs. 1.

Serwety do okrycia stołów w rozmaitym są guście, aby tym łatwiéj dobrać można odpowiednią do pokrycia mebli. Najdroższe są wełniane przerabiane jedwabiem zwane *gobelinowe*, po nich następują rypsowe tkane jedwabiem i wełniane drukowane w kwiaty, arabeski i medaljony od 10 do 13 rs. sztuka.

ROZMAITOŚCI.

KWIATY I OWOCE.

(Dalszy ciąg).

Uprawa roślin tłustych karłowatych. Wszystkie rośliny tłuste karłowate, jednakowo się chodują. Trzeba je podlewać dosyć obficie dwa razy na tydzień' i to podczas ich wegetacji, kiedy mają zakwitnąć; gdy wegetacja ustaje nie potrzebują wcale podlewania. Jakoż rośliny te rosną w krajach podzwrotnikowych, gdzie są wystawione na ulewne deszcze i na długą, czasem kilkomiesięczną suszę. Doniczki z gliny czerwonéj w których są roślinki powinny się stawiać na maleńkiéj podstawie. Stapelje więcéj od innych potrzebują światła, dla tego trzeba im wybrać na półkach miejsce najlepiéj oświecone, a podczas pogodnych dni, dobrzeby je stawiać na balkonie lub też w oknie otwartem, aby je powietrze owiało, co koniecznie potrzebne im do zdrowia.

Z pomiędzy roślin tłustych karłowatych, można jeszcze postawić na pułkach Ficoidy, Kassule i Agawy. Różnią się one zupełnie od innych, przez to urozmaicają bardzo ten miniaturowy ogródek. Należy uważać na to żeby nigdy nie stawiać podobnych do siebie roślin obok siebie.

(d. c. n.)

Opis ryciny.

Figura 1-sza. Suknia z gładkiego fularu szarego, naszywana wstążką różową, przez środek wstążki dana wązka pasmanterja czarna. Kapelusz słomkowy opasany girlandką ze stokrotek, z tyłu wielka kokarda z końcami.

Figura 2-ga. Suknia zielona fularowa w paski czarne podniesiona na takiejże saméj spódniczce. Ubranie z czarnéj aksamitki objętéj wąziuchną koroneczką kluni, przez środek aksamitki małe guziki z konchy perłowéj. Kołnierz z końcami *Richelieu.* Parasolka podbita białą materją.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: ***Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.***

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek).



3513

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nr. 29 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 9 (21) Lipca 1866 r.

NAJPIĘKNIEJSZA.

Bo taką ukochałem jedynie na świecie!

I.

ZBIGNIEW DO ADAMA

Wreszcie i list dłuższy odbierasz, Przyjacielu kochany!

Pierwszy zbyt krótki powiadomił Cię tylko, żem zamieszkał w Suleńcu: majętność ta spadła na mnie po stryju, który umarł przed rokiem, gdym zostawał jeszcze na akademii agronomicznéj w *Hohenheim'ie*.

Stryj mój, pan Mateusz, nader zacnym i szlachetnym był obywatelem, i byłbym się chętnie téj wyrzekł spuścizny, byleby on tylko jeszcze żył z nami! Widywałem go często u rodziców moich. W Suleńcu byłem kiedyś chłopięciem jeszcze.

A piękny to, naprawdę, ten Suleniec! Obszary rozległe ziemi rodzajnéj, łąki żyzne ciągnące się daleko, i lasy piękne.

Dwór mam obszerny, wygodny, zaopatrzony we wszystko. Budynki dworskie w najlepszym stanie. W koło dworu piękny ogród, w części w smaku dawnym, w części w rodzaju angielskim — bo ś. p. stryj lubił ogrodnictwo. Po za oficyną jest sąd, a w nim owoce najlepszych gatunków.

Tęsknię tu wszelako trochę, mój Adamie: okolica zupełnie mi obca, a dotąd mało jeszcze osób poznałem. A miałem przecież wiele, bardzo wiele do czynienia, do przejrzenia, do uporządkowania. Dziś już wypracowałem się całkiem niemal, i tem więcéj czuję moją samotność

Najbliżsi sąsiedzi moi są: państwo Krzeszowscy w Żegnowie i państwo Dobrosławscy w Hubinie. I z jedną i drugą rodziną ś. p. stryj żył w najściślejszych stosunkach przyjaźni; podawał im dzieci do chrztu, i okazywali sobie nawzajem wszelkie sąsiedzkie i przyjazne usługi.

Było przeto obowiązkiem moim, w jak najkrótszym czasie złożyć uszanowanie obu tym rodzinom. Wybrałem się więc dnia jednego do Żegnowa, a nazajutrz zaraz do Hubina.

Uprzedzono mnie, że mam dwie panny w sąsiedztwie, z których jedna jest piękną bardzo i uroczą — o drugiéj zaś mówiono...... że obok tamtéj niemal jest brzydką. I naprawdę znalazłem pierwszą, piękniejszą ponad wszelkie poprzednie marzenia.

Ależ opowiem Ci wszystko w porządku.

Przybyłem do Żegnowa. Jest tam pałac piękny, życie wystawne, i wszystko pałacowi odpowiednie. Państwo Krzeszowscy siedzieli przed pałacem od strony ogrodu, a z niemi jeszcze i parę osób w gościnie będących. Przyjęli mnie ponad wszelki wyraz uprzejmie, dzięki pamięci zacnego stryja!

Pogadanka zawiązała się od razu dość ożywiona, Pan Krzeszowski żył dużo w świecie, i widać że żyć umiał. Pani Krzeszowska musiała być bardzo piękną, jest *grande dame*, lubi mówić o stosunkach swoich z najwyższą arystokracją, ale przytem jest dobroduszną, dla każdego uprzejmą, i podległą woli męża.

Wyznam szczerze, żem się po razy parę obejrzał, czyli gdzie nie zobaczę ich córki, pięknéj panny Emmy; ale ciekawość moja na dość długą była wystawiona próbę.

Wreszcie dojrzałem idącą z głębi ogrodu śliczną postać dziewiczą. Dość długą przebyć musiała przestrzeń wśród trawników i kwietnych klombów, zanim do nas doszła: to więc bez natręctwa dobrze jéj przypatrzeć się mogłem. Wdzięczna postać, wysoka, smukła, w lekkiéj sukni białéj, odznaczała się uroczo na drzew tle ciemnawem. Szła zwolna, pochylając nieco głowę, a w ręku kwiatek jakiś skubała, jak ongi *gretchen* ciągnąca wróżbę: *Er libt mich, er libt mich nicht!* We włosach, ślicznie ułożonych, ciemnopłowych, miała pęczek różnych kwiatków.

Rysy twarzy panny Emmy są jakoby wyrzeźbione podług wzoru starożytnéj Kamei. Usta małe, uśmiechnięte najczęściéj; zęby bielutkie, a oczy!.... duże, koloru pomiędzy szafirem a błękitem, cudownie piękne!

Nadeszła, jam się podniósł,

— Pan Zbigniew Wojsławski, moja córka Emma, wymówił pan Krzeszowski. Skłoniłem się głęboko przed tą królową wdzięków.

Panna odkłoniła się obojętnie niby usiadła, i rzuciła resztę doskubanego kwiatka.... byłbym go podniósł i zachował!....

Pośmiejesz się pewnie, mój Adamie, czytając te wyrazy, nie prawdaż?

To też rzuciłem je właśnie, by Ciebie zabawić: boć uwierzysz mi pewnie, że tak od razu, od jednego razu, nie potrafiłbym nigdy oszaleć! Miło mi gawędzić z Tobą, chociaż na papierze tylko, wśród tych czterech ścian moich, gdzie mi jedynie-li odpowiada.... *echo!* — i to nie plotkarska wysłanka dumnéj a ciekawéj Junony. To też rzucam baraszki na welin, maczając stalowe pióro w kałamarzu brązowym, z napisem *Ink*.

Panna Emma naprawdę jest pięka, pełna wdzięku i powabu, a jak to wy mówicie: *ma szyk*. Podziwia-

łem, patrząc się na nią, piękny twór natury, ale.... nic więcéj, przynajmniéj na teraz. Kilka godzin upłynęło mi nader mile, bo *krasawica* ma dużo życia i przyjemne salonowe obejście, lecz nie powróciłem rozmarzony do domu, i upatrywałem pięknéj bogdanki mojéj pomiędzy gwiazdami na bezchmurnem niebie nocy letniéj.

I ażeby Cię przekonać, że bynajmniéj nie przenosiłem się lotem wyobraźni w światy idealnych uroków, powiem Ci jeszcze — o! horrendum, że wieczerza wykwintna, pańska, smakowała mi wybornie, jako też i herbata z czystego kwiatu.

Ale idźmyż daléj.

Dom państwa Dobrosławkich, jest sobie więcéj szlachecki tylko.

Dwór obszerny z przystawkami różnemi według potrzeby. Ogród w guście mięszanym niby w Suleńcu: są i szpalery cieniste, ulice proste, ale jest i angielszczyzny trochę. Te spostrzeżenia już poczyniłem zajeżdżając, bo jadąc od Suleńca, objeżdża się dość długo, zanim się na dziedziniec i przede dwór dostaniesz.

Pan Dobrosławski serdeczny jest człowiek, że go od razu pokochać można, gościnny i szczery: co w sercu to i na języku. Pani Dobrosławska przypomina mi matkę moją: otóż co najlepszego dla zcharakteryzowania jéj wyrzec mogłem! Wiesz przecie jak czczę i kocham moją matkę.

Panna Zofija nie jest ładną — ale nie znalazłem, ażeby brzydką była..... może przez życzliwość dla rodziców i dla niéj saméj, zresztą, obok Emmy.... może być brzydką! Jest to brunetka, śniada, rysy ma nieregularne, nosek nieco zadarty, czoło nizkie, usta dość duże, ale zęby białe i równe; oczy ciemne, zwyczajne; wzrost średni, kibić zgrabną i ruchy zręczne, mianowicie też chód co rzadkiem podobno bywa u kobiet. Posuwa się lekko, swobodnie, bez kręcenia i szastania się: suknia płynie za nią, jak na statui starożytnéj, powiedziałbym, że *klasyczne* ma ruchy. Państwo Dobrosławscy mają jeszcze dwie młodsze córeczki na pensyi, i syna w szkołach.

Emma i Zofija są obiedwie chrzestnemi córkami ś. p. Stryja. Ależ piękna Emma jest pieszczotką losu i jedynaczką u rodziców!

Pan Dobrosławski, gospodarz zawołany i zamiłowany, oprowadzał mnie wszędzie, co dla mnie wielce to było przyjemnem, bo i pouczyłem się nie jednego..... chociaż to jestem *wyuczonym* w sławnym *Hohenheim'ie.*

Co mnie najwięcéj zajęło w Hubinie, to słowem niewypowiedziany porządek i czystość — porządek w każdem kąciku! Nigdzie pyłku nie dojrzysz w pokojach, a w koło dworu, to aż spojrzeć miło.

— Cóż u licha, czy ty patrzysz po kątach? zapytasz pewnie, pokręcając głową, i gotów jesteś zanucić, jak nam piastunki nasze nuciły kiedyś.

A ten piąty
Patrzy w kąty
Nie pójdę za niego matulu droga!

Otóż, Adasiu, mateczka moja i ciociunia pouczyły mnie swoim wzorowym porządkiem, upatrywać go wszędzie, a zwłaszcza też gdzie są panny.

Państwo Krzeszowscy i Dobrosławscy każdą niedzielę spędzają pospołu: to w Żegnowie, to w Hubinie. Zostałem zaproszony raz na zawsze, bym w tem miłem i zacnem gronie żadnéj nie uchybił niedzieli, z wyjątkiem tylko, jeżeli u rodziców zabawię. Tak czynił i stryjaszek zwykle.

Jestem przeto już niby zaklęty w to koło.... *czarodziejskie,* powiesz pewnie, to i niechżeż tak będzie!

Mateczce mojéj musiałem wszystko aż do drobiazgowości opisać, i bardzo ją zajęła urocza postać pięknéj Emmy.

Marzy tam kochane matczysko już o mojem przyszłem szczęściu.

Do widzenia się, Adamie, w przyszłym liście!

Zbigniew.

Pan Zbigniew Wojsławski, przez cześć i pamięć dla stryja, urządził w rocznicę śmierci jego, to jest 12 Czerwca, uroczyste nabożeństwo żałobne w miejscowym kościele, i sąsiadów na nie zaprosił. Przybyli też wszyscy, bo ś. p. pan Mateusz ogólny posiadał szacunek i zapewnił sobie wśród przyjaciół niewygasłą pamięć, a zarazem uznano i ten czyn, miłości i uczczenia ze strony bratanka.

Świątynię przyozdobiono gałęziami świerkowemi, wśród których liczne gorzały lampy. Katafalk i trumnę piękne wieńczyły kwiaty. Obraz nieboszczyka o trumnę wsparty otaczał wieniec z liści dębowych, jako godło zasług obywatelskich a w koło światło jarzące w wielkich srebrnych świecznikach, i na czarach zapalony spiritus, błękitnawe rzucający płomyki, wielce okazałą tę wystawność czyniły.

Bliżéj trumny dwie młode dziewice klęczały: Emma i Zofija. Obiedwie w czarnych sukniach, każda z grubą świecą w ręku, Emma była prześliczną: czarny kolor podniósł świeżość jéj lica, a liczne oświetlenie dodawało im blasku. Zofija pochyliła się, w połowie przysłaniał twarz jéj kapelusik czarny, w połowie opuszczająca się krepowa zasłona. Nie podniosła wcale czoła, trzymając oczy w kir żałobny wlepione.

Naprzeciw nich, w gronie mężczyzn, był Zbigniew.

Kapłan w kilku słowach przypomniał zasługi zmarłego, serce jego dla każdego otwarte, chęci przyjazne, uczynność sąsiedzką i prawdziwą miłość bliźniego, miłość chrześcianina.

I wtedy to Zofija niżéj jeszcze pochyliła głowę, a łkanie gwałtem tłumione, wydzierało się z jéj piersi żalem rozpieranéj.

Emma podała jéj śliczny flakonik.

Zofija uścisnęła jéj rękę, a potem przysłoniła twarz batystową chusteczką. Po chwili łkania ustały, zapuściła zasłonę i modliła się cicho.

Skończyło się nabożeństwo.

Młody dziedzic zaprosił wszystkich na śniadanie do dworu.

W drodze zbliżył się Zbigniew do panien, które szły razem, Emma rozmawiała wesoło z jednym z sąsiadów. Zofija szła milcząco, z zapuszczoną krepą.

— Winienem pani wdzięczność za tę pamięć dla mojego stryja, wymówił Zbigniew do niéj

Zofija niby nieco zdziwiona zwróciła się ku niemu.

— Och, mój panie, odrzekła głosem stłumionym, toćże ś. p. pan Mateusz tak szczerym tak serdecznym był przyjacielem domu naszego... i chrzestnym ojcem moim, i tak dobrym dla mnie!

— Tak prawda, wielka go przyjaźń z państwem łączyła.

— Nie dostaje nam go bardzo..... Przez lat tyle bywał u nas tak częstym gościem....

— I państwo bywaliście w Suleńcu.

— O, i nieraz! A zawsze wielkie to było święto. Pamiętam...... z lat dzieciństwa, jak na dni kilka wprzódy już cieszyłam się tą do Suleńca przejażdżką, odrzuciła zasłonę i lekki, zaledwie dostrzeżony uśmiech tego wspomnienia, na ustach jéj zaigrał, a pan Mateusz brał mnie zaraz za rękę, gdyśmy przybyli, i oprowadzał wszędzie, wszystko pamiętam!

Pan Zbigniew powiedział sobie w téj chwili, że panna Zofija śliczne ma spojrzenie.

— Ale czyż dom starego kawalera, potrafił młodym panienkom dość dostarczyć rozrywek? ciągnął daléj rozmowę.

— I jak wiele! Nasamprzód były tam wyśmienite łakocie, uśmiechnęła się Zofija, które pan Mateusz z dużéj szafy, będącéj w gabineciku przy jego sypialni, wynosił. Potem cudna pozytywka, gry różne, i piękny ogród. Na stawie bacik.... potem skrzypki, na których sam przygrywał, i tańce na murawie..... Późniéj, gdyśmy już starsze były, zajmował nas przegląd pięknych a rzadkich nawet rycin, których takie miał mnóstwo.

— Są jeszcze wszystkie, wymówił Zbigniew.

— Mappy od lat najdawniejszych, i zbiór wielki numizmatów i medali różnych.

— Wszystko pozostało nietknięte.

— Wreszcie, późniéj jeszcze nęcił piękny i liczny księgozbiór, a było to źródło niewyczerpane pokarmu dla ducha, uśmiechnęła się Zofija. Jakżeż więc Suleniec nie miał być dla nas niby pałacem wieszczek?

— O, bo trzeba panu wiedzieć, ozwała się Emma w téj chwili, a Zbigniew na jéj przeszedł stronę, że Zosia z niewypowiedzianem zajęciem przeczytała wszystkie *Malwiny*, *Matyldy* i t. d., jakie tylko na zakurzonych pułkach wyszperać mogła. I *Bielskiego* i *Długosza*, *Górnickiego* i *Reja*, pomiędzy którymi skrzętne myszki już gospodarować poczęły, i zaśmiała się wesoło.

— Jakto! zapłonął Zbigniew, czyliż w takiem książki te zostawały zaniedbaniu?

— Bynajmniéj, zawołała Zofija i zapłonęła także, było to przypadkowe z *Kroniką Bielskiego*, że się jedna zakradła i uszkodziła ją nieco. Ale pan Mateusz kazał zaraz całą przejrzeć szafę i dziurkę, którą się zakradła, naprawić.

— Ależ *Malwiny*, *Cecylije*, *Eweliny*, *Pojaty*, *Siory*.... i jak tam nazywają się te bohaterki wszystkie, były spleśniałe.

— Papier pożółkł nieco, bo i jakżeż mogło być inaczéj?

— Masz gust antykwarski, moja Zosiu, odtego już nie uwolnisz się zarzutu.

— Lubię porównywać dawniejsze utwory z dzisiejszemi tego rodzaju, ma to szczególny dla mnie interes... A zresztą, wyznaję, że niektóre z tych powieści dawnych podobały mi się więcéj od wielu dzisiejszych, jak np. *Cecylija*.....

— Och, och! mnie do ich *lektury* nie skłonisz.

— To może panie pozwolicie sobie służyć świeżemi dziełami, autorów dzisiejszych, ozwał się Zbigniew uprzejmie, sprowadzam zwykle cokolwiek ukaże się uwagi godnego w piśmiennictwie naszem, a miewam i obce rzeczy.

— Z wdzięcznością przyjmiemy, odrzekła Emma, skinąwszy głową z wdziękiem nieokreślonym.

Weszli w dziedziniec. Zofija zbliżyła się do matki. Zbigniew pozostał przy Emmie, i razem do dworu weszli.

W sali jadalnéj sute a nawet wykwintne zastawiono śniadanie. I niebawem szczęk porcelany i dzwięk srebra rozległy się w koło.

Ze sali jadalnéj prowadziły otwarte podwoje do biblioteki.

Zofija stanęła w progu i patrzyła się z zajęciem na dobrze znajomą sobie książnicę, a mającą dla niéj interesu tyle. Smętny wyraz powlókł jéj lica, bo sobie wspomniała pana Mateusza i dawniejsze mile spędzone chwile. Dostrzegła zarazem, że liczbę szaf dwie nowe zwiększyły, szerokie, wysokie a płaskie, zastawione książkami w jednakiéj niemal ciemnéj oprawie, z napisami złoconemi.

— Czy pani nie zechcesz bliżéj przystąpić? ozwał się w téj chwili do niéj młody dworu gospodarz, może pani raczysz co wybrać.

Zofija z uprzejmym półukłonem posunęła się daléj. Nowe szafy zawierały zbiór piękny i zupełny dzieł nowszych piśmiennictwa naszego. Kilka wszelako pułek zajęły książki francuzkie, angielskie, niemieckie.

— O, jakież to skarby! zawołała Emma, przybiegając za nią i objęła ją w pół. Wyproszę sobie niektóre z tych *cacek umysłowych*, i wskazała rząd powieści francuzkich, zwracając się z wdzięcznym wyrazem do pana Zbigniewa.

— Wszystko jest na rozkazy pani! odrzekł i szafę otworzył.

— A pani czemżeż sobie służyć pozwoli? zwrócił się do Zofii, drugą otwierając szafę.

— Korzystając z uprzejmości pana, odrzekła, wybiorę sobie ostatnią pracę historyczną Szajnochy i *Złote jabłko* Kraszewskiego, którego nie znam jeszcze. A także i *Emilja Wyndham*, dodała, wskazując na pułki z obcemi tworami, chwalono mi tę powieść.

— O! zaśmiała się Emma, ale zapewne sobie moja drużka kochana coś i ze starych wybierze szpargałów.

— Zgadłaś Emciu! odpowiedziała jéj Zofija, bo wyproszę sobie jeszcze historją polską *Rulhieres'a*, którą raz już od pana Mateusza miałam.

— Poszukamy zaraz! i Zbigniew począł ksiąg rzędy przeglądać.

— Tam podobno! poszepnęła Zofija, przysunęła wschodki i weszła po nich, sięgając po książki w czerwony safian oprawne na górnéj półce.

— Czemużeś pani mnie nie kazała! zawołał Zbigniew, przybiegając.

— Już mam! wymówiła panna, szybko schodząc po stopniach.

Zbigniew podał jéj rękę, i wyznać musiał, że dostrzegł małą i zgrabną nóżkę w czarnym buciku.

Tymczasem Emma wybrała sobie cały tuzin romansów francuzkich.

Po chwili zaszły powozy, i goście młodego gospodarza żegnali.

Ostatnim był powóz państwa Krzeszowskich.

— Panie Zbigniewie, wymówił dziedzic Żegnowa, prosimy z sobą, bo i smutniéj ci dziś w twojéj samotności. Siadaj z nami.

Zbigniew nie dał sobie tego dwa razy mówić. Rozkazał, by Tomasz po niego wieczorem karyklem przyjechał; podał paniom rękę przy wsiadaniu, podsadził pana Krzeszowskiego, a potem sam wskoczył do powozu, z widocznem w twarzy wielkiem zadowoleniem.

II.

ZOFIJA DO PANI BOLIMOWSKIÉJ.

Droga Kochana Cioteczko!

Jesteśmy wszyscy zdrowi i dobréj myśli, za co dzięki Bogu!

Ojcuszek zajęty sianożęcią, która cieszy go wielce w tym roku. Trawy bujno po ciepłych deszczach wyrosły, kwiecie barwnym usłało je kobiercem, że aż żal było, gdy pod zabójczą padały kosą. A teraz są śliczne pogody.

Mateczka krząta się jak zwykle. Są już porzeczki, agrest, czereśnie, poziomki, więc robimy, *konserwy* i *konfitury*. Zawsze tu jest czynności wiele, byle ich nie unikać tylko.

Wczoraj piekłyśmy pierniczki, udały nam się wcale nieźle, i pozwoli Cioteczka, że Jéj parę załączam tuzinów.

Ludka i Mysia często z pensji pisują, Staś uczy się dobrze i.... Ciociu, to będzie poeta! Nadesłał mi *gawędę*, w rodzaju Syrokomli, i *sonet* ładniutki, żem aż skakała z radości.

Zapytuje Cioteczka jak czas mój spędzam i co teraz czytam?... Och, wiele! Wstaję rychło, i dwie godziny każdego ranku przepędzam nader przyjemnie i pożytecznie: czytam dzieła historyczne, porównywam jedno z drugiem, robię notatki.... i to z nieokreślonem zajęciem. Okno mam otwarte przy mojéj sekretarce, i nic mi to nie przeszkadza, że ślęcząc nad dziejami Zamojskich, Potockich, Małachowskich i t. p., słucham śpiewu ptasząt, spoglądam na woń siejące kwiaty, na stare drzewa, zielone i piękne, rysujące się malowniczo na jasnym błękicie.

Potem przebiegnę ogród, zajrzę tu i owdzie, i do mateczki idę, zdając jéj sprawę o wszystkiem. Śniadamy pospołu, gawędzimy o dniu wczorajszym i robimy plany na dzisiaj.

Po śniadaniu wracam do siebie i zasiadam do gotowalni. Wczasie ubierania, czesania, czytam jaki utwór z piśmiennictwa lżejszego mając rozłożoną książkę.

Następnie pogospodarzę z mateczką i wreszcie zasiadam z robotą razem z mateczką. Później przynoszą nam gazety z poczty, więc je czytam głośno.

Po objedzie posiedziemy, czyli to przed domem, pod drzewami, czyli też w pokoju, gdy powietrze jest słotne. Rozmawiamy, gawędzimy.

Potem ojcu zajadą, czasem towarzyszę mu na folwark, do lasu, w pole. A mateczka podrzemie sobie godzinkę. Jeżeli zaś nie jadę z ojcem, to biorę książkę powieści, poezye, nasze lub obce, idę w szpaler albo lipy, i czytam dopóki mateczka nie wstanie.

Znowu posiedzimy razem. Potem ojciec na podwieczorek powróci. Czasem i gość jaki zawita, choćby też kwestarz tylko.

Pod wieczór idziemy w pole na przechadzkę i tak zejdzie dnia reszta, i tak dzionki płyną, że nawet nie spostrzegę, jak?!

Wczoraj np. poszłyśmy do siana. O, byłabym chciała zdjąć ten obraz i dać mu ów koloryt, ciepło i życie, jakiemi mnie zachwycał. Prześliczna zieloność łąk, ładny nasz Hubin, staw, lasek dębowy a po łące hoże dziewczęta zręcznie wywijające grabiami, parobczaki ochocze, a wszystkie te gruppy, magicznie przedzachodniem zróżowione światłem. Przytem woń cudna traw, ziół i kwiecia różnego!

W niedziele i święta, jak to Cioteczce z czasów dawniéjszych wiadomo, zbiera się zwykle sąsiedztwo w Żegnowie, albo też u nas i bawimy się doskonale.

Emcia z dniem każdym jest piękniejszą i pełną powabu.

Cioteczka zapytuje o naszego nowego sąsiada, pana Zbigniewa Wojsławskiego, czyli to prawda, że on stara się o Emmę?

Ludzie tak przypuszczają, ale my nic dotąd nie wiemy. Bywa on często w Żegnowie, i *niepodobna*, ażeby ślicznéj Emmy uwielbiać nie miał. Ale nie oświadczył się dotąd, i nie wiem równie o ile on podoba się Emci.

Jestto zacny młody człowiek, szlachetny i z wielkiem poczuciem obowiązków, a więc godnie wstępuje w ślady swojego stryja. Oddany Suleńcowi i zachodom gospodarczym z zamiłowaniem: ojciec bardzo pochwala wszystkie jego czynności. Marnotrawstwa tam niemasz i cienia, a wszystko dąży ku ulepszeniu. Nic tam bez jego nie dzieje się wiedzy i zarządu, sam jest wszędzie, myśli o szkółce wiejskiéj, o szpitalu i o ochronce.

A otóż i mała próbka jego szlachetności. Pan Mateusz zrobił testament, lecz miał dodać jeszcze *kodycyl*, w którym chciał dawnym sługom różne poczynić zapisy. Śmierć go zaskoczyła, i testament bez *kodycylu* pozostał. Pan Zbigniew posłyszał o tym zamiarze nieboszczyka i z góry oświadczył, że stosownie do lat służby i zasług nagrodzi każdego. Szukał notatek jakich po stryju w téj mierze, przetrząsał każdą skrytkę — wreszcie znalazł czego szukał i jeszcze ponad one notatki obdarzył zasłużonych!.... Rozpłakałam się, gdy mi o tém mówiono.

Pan Zbigniew należy także do wykształceńszéj młodzieży i sam ciągle jeszcze nad sobą pracuje. Sprowadza różne dzieła, nic obcem mu nie jest. Emma byłaby z nim zapewne szczęśliwą. Bo czyliż to nie jest szczęściem, nieść szczęście tak pięknéj duszy, umilić mu życie, jak na to zasługuje?! On potrafi wpływ zbawienny wywrzeć na wszystko.

Och, Cioteczko! Dotąd mówiłam tylko o jaśniejszéj stronie życia — ależ potrzeba i o tem mówić co boli.

(d. c. n.)
